

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

SAM

To było przygnębiające – stracić całą noc z Grace w taki sposób – ni stąd, ni zowąd. Po odwiezieniu Rachel chciałem odnaleźć swoją wilczycę, ale Cole przekonał mnie, że to bez sensu. Ona do mnie nie przyjdzie, za to, skoro przemieniła się blisko domu rodziców, będzie wiedziała, gdzie jest. Nie sądziłem, że bez niej uda mi się zasnąć, ale po tym, jak nasz gwiazdor wyperswadował mi poszukiwania, położyłem się na łóżku, wpatrzony w żurawie i choinkowe lampki i po prostu udawałem, że czekam, Az Grace wróci do łóżka z łazienki.

To był długi dzień. Kiedy już nie mogłem poradzić sobie z galopada myśli o wszystkich tych rzeczach, które się dziś przytrafiły, zmorzył mnie sen.

Śniłem o tym, że chodzę po domu, od pomieszczenia do pomieszczenia. Wszystkie pokoje były puste, ale to była pełna treści i oddechów pustka, jakbym w każdym momencie mógł się odwrócić i zobaczyć kogoś za plecami. Dom wydawał się zamieszkały – nie niedawno, a obecnie – jakby jego mieszkańcy wyszli na chwilę na dwór, żeby sprawdzić, jaka jest pogoda i zaraz mieli wrócić. Zwłaszcza sypialnie nosiły ślady życia – na każdym łóżku leżała walizka albo plecak wypełnione ubraniami, a obok nich stały buty, czekając na odejście. Na łóżku Urlika leżał jego laptop i elektryczna maszynka go golenia. Na łóżku Paula – sterta kostek do gitary i kilka wypalonych na DVD filmów, o których nigdy nie słyszałem. Nawet w pokoju z piętrowymi łóżkami leżały bagaże. Słuchawki Dereka spoczywały na jego aparacie fotograficznym, a szkicownik Melissy czekał cierpliwie obok jej butów. Łóżko mojego opiekuna było puste.

W swoim śnie szedłem od pokoju do pokoju, po kolei gasząc światła. Pożegnałem się z pokojem Becka, w którym prawie nigdy nie przebywałem. Pożegnałem się z pokojem Urlika, gdzie razem oglądaliśmy horrory na jego laptopie. Mój pokój pominąłem i zszedłem na parter. Pożegnałem się z salonem, gdzie kiedyś siedziałem z Grace na sofie, niemal jako wilk, i gdzie Isabel pomogła mi powstrzymać atak padaczki Cole'a. Pożegnałem się z żółtym pokojem, w którym mieszkał Cole i umarł Jack. Zgasilem światło w łazience, której unikałem przez ponad dekadę. Pożegnałem kuchnię pełną naszych fotografii na szafkach, z tysiącem uśmiechów, z których każdy był szczery. I ruszyłem do piwnicy. A tutaj, w bibliotece, otoczone przez książki, leżały rzeczy Becka, których brakowało w sypialni: jego walizka i buty spoczywały na pufie obok fotela do czytania. Obok nich leżał krawat i jakaś płyta CD ze splątanymi gałęziami na okładce. Tytuł był nabazgrany na jedynej białej przestrzeni: „Na granicy przebudzenia...”.

Beck był wszędzie wokół mnie, żył we wszystkich tych książkach, które przeczytał. Zamieszkiwał każdą stronę. Był każdym bohaterem, każdym przestępcą, każdą ofiarą i każdym napastnikiem. On był początkiem i końcem wszystkiego.

*Die letzte all türen
Doch nie hat man
An alle schon geklopt*

*Ostatnie ze wszystkich drzwi
Lecz jeszcze nigdy
nikt nie pukał do wszystkich**

* Rainer Kunze, *Samobójstwo* [w:] *Nokturn i inne wiersze z lat 1959-1981*, wybór i przekład Ryszard Krynicki, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1987, s. 15.

to było ostatnie pożegnanie. Zgasilem światło.

Zostało mi jeszcze jedno miejsce. Powoli wszedłem z powrotem na górę, na parter, a potem na piętro i ruszyłem korytarzem do swojego pokoju. Papierowe żurawie drżały na swoich sznurkach, jakby przeczuwając trzęsienie ziemi. Widziałem każde ukryte w nich wspomnienie, obrazy wyświetlały się na ich skrzydłach jak na ekranie telewizora. Wszystkie żurawie śpiewały radosne piosenki, które ja też kiedyś śpiewałem. Ptaki były piękne, przestraszone i próbowały wyrwać się na wolność.

– Złe wieści, Ringo – usłyszałem złowróżbny głos Cole'a. – Wszyscy umrzemy.

Obudził mnie dzwonek telefonu.

Na ten dźwięk adrenalina przeszła moje na wpół śpiące ciało. Pierwsza przytomna myśl, jaka przyszła mi do głowy, zabrzmiała niewytłumaczalnie: „Och, nie, nie tutaj”. Po sekundzie zorientowałem się, że to tylko telefon. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak pomyślałem.

Podniosłem słuchawkę.

– Sam? – rzucił Koenig. – Powinienem zadzwonić wcześniej, ale mam nocną zmianę i... nieważne. – Policjant nabrał głośno powietrze w płuca. – Polowanie zostało przyśpieszone.

– Co takiego?!

Pomyślałem, że może wciąż śpię, ale żurawie wisiły całkiem nieruchomo nade mną.

Koenig powiedział trochę głośniej:

– Odbędzie się dziś. O świcie. Pięta czterdzieści siedem. Helikopter nagle się zwolnił i przesunęli całą akcję. Pora wstawać.

Nie musiał mi tego mówić. Czuję się tak, jakbym już nigdy nie miał zasnąć.